

bolko loft
medusa group



Mieszkam na kopalni

Przemo Łukasik

Swego czasu dziennikarz piszący do jednej z gazet – kierowanej stricte do górników – tak oto scharakteryzował proces zamieszkiwania mojego i mojej rodziny „na kopalni” w lofcie Bołko: „jeździ zachodnim samochodem, żonę i dzieci ma dosyć zadbane...”

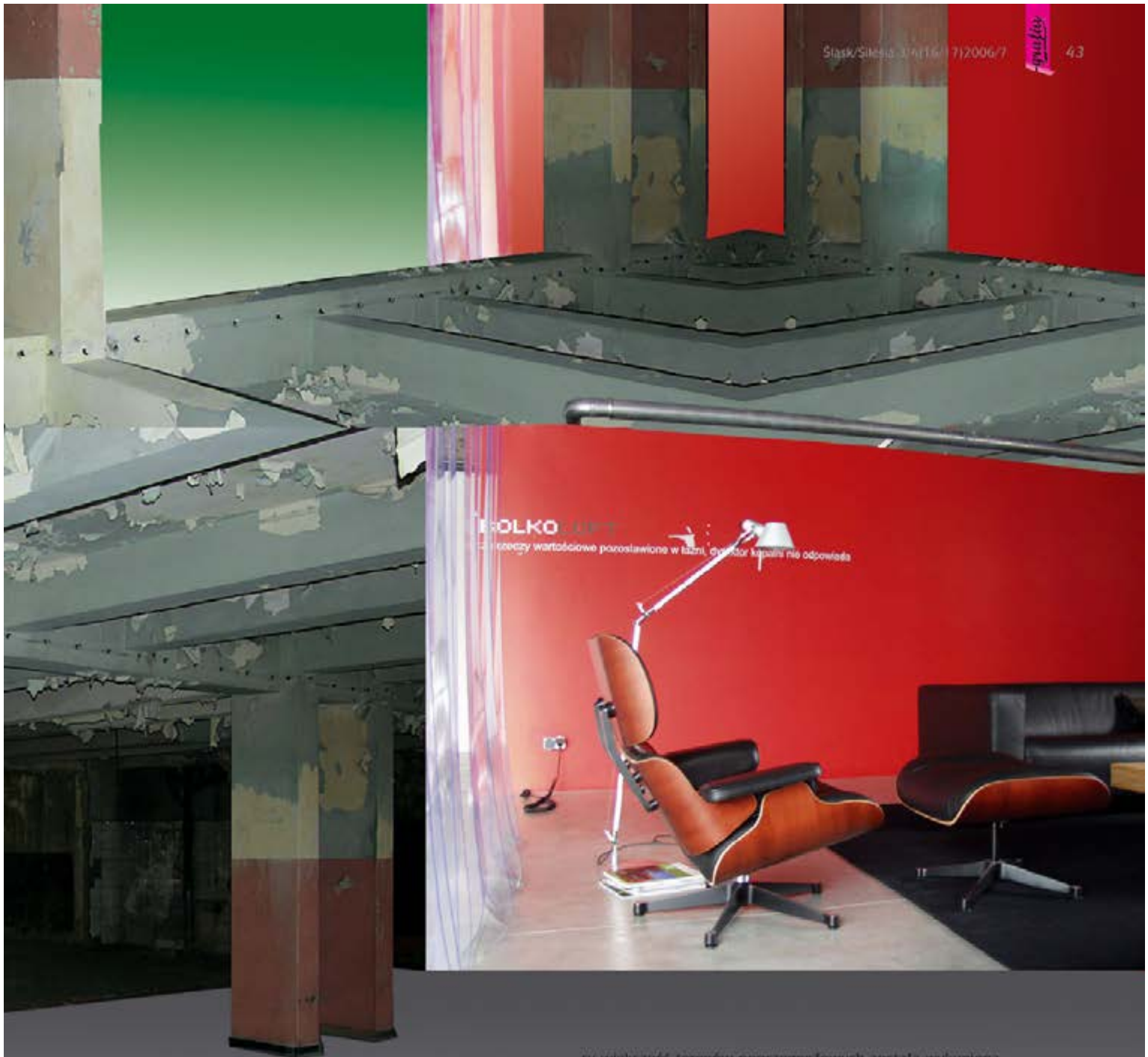
Pustka

Monokultura, tak charakterystyczna dla większości miast konurbacji górnośląskiej, szczególnie mocno wyrażana jest w Bytomiu – nie ma tu ani uczelni, ani inwestycji zdolnej tę monokulturę łamać. Miasto dobrze rozwijało się w latach 70. i 80., ale na ostatnie dziesięć lat przypada okres pełnej stagnacji i upadku. Moi sąsiedzi to w większości ludzie pracujący w ciężkim przemyśle – hutnicy i górnicy. Większość z nich straciła pracę i na nowo próbuje odnaleźć się w społeczeństwie. W wyniku eksploatacji wyrobisk zostały wyburzone całe pierzeje ulic, ponieważ stojące w nich kamienice i budynki poprzemysłowe groziły zawaleniem. Najbardziej dramatycznym skutkiem tej sytuacji jest rodząca się wszędzie pustka społeczna i niemoc ogarniająca nawet najbardziej energicznych ludzi. Ze strony władz miasta nie ma – przynajmniej w moim odczuciu – wyraźnych pomysłów, by ten stan zmienić. Sądzę, że najpierw należy doprowadzić do ekonomicznej rehabilitacji społeczeństwa, a nie stawiać kolejny supermarket czy kino, które według urzędników „ożywi” miasto. To błędne założenie – przede wszystkim trzeba stwarzać ludziom przestrzeń dla edukacji, bo wraz z nią narodzą się wszelkie inicjatywy samorządowe i obywatelskie. Oczywiście trudno żyć w oderwaniu od codzienności – jestem przecież jej częścią – dlatego całe swoje działanie ukierunkowałem na ową rehabilitację, oczywiście czynioną nie w sposób bezpośredni, ale za pomocą umiejętności i narzędzi przypisanych architektowi. Na swój sposób staram się kreować nową przestrzeń publiczną: budując, adaptując i rewitalizując – czyli przywracając do życia miejsca umierające. Wykorzystuję zastane elementy, podkreślając wyjątkowy charakter naszego regionu – szczególnie „aestetyczną” urodę wszelkich tekstur, zacieków, betonowych szarości, zmatowiałych szyb, odcieni cegieł czy intensywnego koloru zardzewiałych industrialnych konstrukcji. Niejednokrotnie spotykam się z opiniami, że moją twórczość charakteryzuje owa poprzemysłowość, jednym słowem – wszystko, co w powszechnym odczuciu jest po prostu brzydkie. Dla mnie takie stwierdzenia to dobry punkt wyjścia do poszukiwań piękna...



Loft

Mieszkanie w lofcie jest swego rodzaju filozofią. Wciąż dzisiaj nowe w Polsce pojęcie loftu, jako pomysłu na zasiedlanie, pojawiło się już na początku XX wieku. U genezy tego (jeśli tak go można nazwać) nurtu architektury leży przede wszystkim bardzo pragmatyczne podejście do kwestii zamieszkiwania – priorytetem jest niski budżet! Bohema artystyczna w Stanach Zjednoczonych, która na początku dwudziestego stulecia zaczęła użytkować przestrzenie postindustrialne, szukała przede wszystkim miejsca, gdzie można pracować, organizować wystawy, a przy okazji mieszkać. Idealne okazały się nieużywane zakłady przemysłowe. W sa-



mym Nowym Jorku zasiedlano na dziko dziesiątki pustych warsztatów włókienniczych czy mechanicznych. Zresztą ta moda trwa nadal i związana jest z anektowaniem budynków na tzw. squaty, zamieszkiwane przez najróżniejsze subkultury młodzieżowe. Europejskie centra squatów to w tej chwili: Berlin i Amsterdam.

Zasiedlanie loftu to działanie spontaniczne, naturalne – jak niegdyś zamieszkiwanie jaskiń.

W ostatnich latach nastąpił swoisty paradoks: na początku impulsem do życia w loftach była chęć obniżenia kosztów, tymczasem najnowsze realizacje w tej dziedzinie przeznaczone są głównie dla bardzo najbogatszych klientów. Słynny loft Andy'ego Warhola w Nowym Jorku był podzielony na dwie części: w pierwszej – industrialnej, mieściło się studio artysty i przestrzeń, nazwijmy ją: „impresowo-galeryjna”, za to w przylegającym do niej, podobnym gabarytowo pomieszczeniu mieszkalnym, wystrój niewiele odbiegał od pałacowego wnętrza. Dzisiejsze lofy to przestrzeń dla młodych yuppie, bankierów i biznesmenów. W samym Zagłębiu Ruh-

ry większość terenów poprzemysłowych została wykupiona przez developerów, którzy z powodzeniem adaptują je na apartamentowce o najwyższym standardzie. Część bohemy artystycznej, która takie miejsca tworzyła, teraz jest stamtąd rugowana. Na tym tle Śląsk pozostał jednym z niewielu w Europie terenów niezauważonych, a raczej niedocenionych przez inwestorów budowlanych. Wciąż jeszcze można tu za relatywnie niewielkie pieniądze „wyluskać” z krajobrazu piękny poprzemysłowy obiekt. Niedawno sprzedano w Zabrze zabytkową wieżę ciśnień o najwyższej wartości architektonicznej (w sensie detalu) za jedyne 100 tysięcy złotych...

Strefa zero

Nie wiem, co to znaczy być Ślązakiem: nie jem na niedzielny obiad rosółu i rolady z modrą kapustą ani nie używam na co dzień gwary, choć podobno niektórzy wyczuwają mój śląski akcent. Grałem co prawda w orkiestrze dętej i choć nie była to orkiestra górnicza, to kilka razy na Barbórkę przemaszzerowaliśmy przez miasto. Myślę jednak, że jest jakaś charyzma przypisana wyłącznie społeczności Ślązaków – ja również się z nią utożsamiam. Jedno wiem na pewno – ob-

cowanie z tym krajobrazem, swego rodzaju „strefą zero”, w zasadniczy sposób ukształtowało moją twórczość architektoniczną. Po kilku latach mieszkania w Paryżu i Berlinie zdecydowałem się na powrót na Śląsk. Była to świadoma decyzja. Założyłem rodzinę i zamieszkałem na czwartym piętrze jednego z bloków, w typowym M2. Kiedy urodził się nam pierwszy syn, zaczęliśmy się zastanawiać z żoną, jak powiększyć naszą życiową przestrzeń. Oczywiście w takim momencie pojawiają się dziesiątki pomysłów, na przykład idea budowy własnego domu (który jest wyzwaniem dla architekta i możliwością zmanifestowania swoich poglądów architektonicznych) albo adaptowanie jednego z rozlicznych starych strychów w Bytomiu... zaczęliśmy szukać.

Jak zostać szczęśliwym posiadaczem naszego pierwszego loftu

Obiekt znalazłem po kilkumiesięcznych, intensywnych poszukiwaniach. Znajdował się na terenie dawnych zakładów górniczo-hutniczych Orzeł Biały w Bytomiu. Mój loft wchodził w skład kompleksu tzw. szybu Bolko i był częścią stosunkowo niewielkiej kopalni rudy ołowiu. Kopalnia powstawała w latach 1902–1906 na terenie, przez który przebiegała granica między Polską a Niemcami – miejsce, gdzie w tej chwili mam swój dom, służyło jako punkt obserwacyjny. Obecnie znajduje się ono w samym sercu kopalni, tuż obok głównej bramy i budynków zaplecza technicznego, obsługujących maszynę wyciągową. Dzisiejszy Bolko Loft był lampownią i niewralgicznym punktem na trasie codziennej wędrówki górników zdążających do pracy. Przylegały do niego dwie klatki schodowe, którymi pracownicy szli do łaźni. W części tzw. szatni czystej zostawiano odzież „cywilną”,

a następnie przechodzono do pomieszczenia z prysznicami i tzw. szatni łańcuskowej, w której przebierano się, jak to mówią na Śląsku, w „arabajory”. Stamtąd górnicy szli łącznikiem „spinającym” łaźnię z moją lampownią, a następnie nieistniejącym dziś korytarzem o długości ponad 60 metrów docierali bezpośrednio do wieży wyciągowej i szybu. Ten dość oryginalny system łączników i wydzielonych, wiszących niemalże w powietrzu przestrzeni – dzieło kopalnianych inżynierów – miał w sposób kompleksowy ograniczyć kontakt przebywających w nim ludzi z warunkami atmosferycznymi. Przez całą zmianę górnik właściwie nie wychodził poza obrys murów kopalni. Kiedy pierwszy raz zobaczyłem to miejsce, całość wyglądała dość niepokojąco – szczególnie moją mamę przerażały zniszczone ściany i ogólny bałagan. Jednak kubatura i forma budynku dobrze prognozowały przyszłej realizacji – 200 m² powierzchni użytkowej, wysokość do sufitu 3,20 m, wysokość, na której mieliśmy mieszkać – 8,5 m, czyli odpowiednik trzeciego piętra!

Architektura z odzysku

Decyzja o zamieszkaniu w tym miejscu była podyktowana przede wszystkim względami ekonomicznymi. Ograniczony budżet określał w tym przypadku byt... ale ów niewielki budżet pozwalał także uwolnić umysł i ręce od pewnych decyzji budowlanych i ukierunkować działanie bardziej na zachowanie struktury budynku niż radykalne przeróbki – działałem jak konserwator, a nie budowniczy. Chodziło o zachowanie pierwotnego, szorstkiego charakteru tej przestrzeni. Wraz z przyjaciółmi z Medusa Group uprawiamy swego rodzaju filozofię architektonicznego realizmu. Dalecy jesteśmy od okraszania architektury wszelkiego rodzaju detalami: ozdobami, kolorami, stałą nierdzewną czy drogimi marmurami. Staramy się przywracać do łask materiały, które albo zostały zapomniane, albo wydają się bliższe polskiemu budżetom. Polska jest krajem na



dorobku i raczej należałoby oczekiwać od rodaków, by nie budowali w myśl zasady „zastaw się, a postaw się”, jak to się obecnie dzieje. Szczególnie tu na Śląsku pojawia się niezwykła szansa stworzenia własnego języka architektonicznego, z którego byłibyśmy znani na całym świecie – jako kraj nowoczesnych budowli z „odzysku” i architektury najniższych budżetów, generujących najwyższą jakość...

Pracownia architektoniczna wraz z mieszkaniem

Po pierwsze: mój obiekt nie mógł się sprzedać... Po drugie: nikt nie wiedział, jak wykorzystać powierzchnię 200 m², która tak naprawdę wisi nad ziemią i nie ma żadnych mediów, a nawet klatki schodowej. Po trzecie – problem stanowiły kwestie formalnoprawne – należało wykupić działkę, dokonać jej podziału i oczywiście sprawdzić w wydziale architektury Urzędu Miasta, czy jest możliwe realizowanie w tym miejscu funkcji mieszkalnych. Okazało się to możliwe, z jednym wszakże zastrzeżeniem – funkcja mieszkalna będzie tylko funkcją wspomagającą! Stąd tytuł widniejący na pozwoleniu na budowę: pracownia architektoniczna wraz z mieszkaniem.

Zasiedlanie

„Możesz uczynić każdą z tych przestrzeni wyjątkową, możesz mieć wszystko pod kontrolą, możesz robić, co ci się podoba” – te slogany jednej z amerykańskich spółek developerskich dobrze oddają charakter działań, jakie można podjąć, będąc posiadaczem loftu.

Samo zamieszkanie w lofcie, czyli obiekcie poprzemysłowym, jest dużym wyzwaniem. To musi być przemyślana decyzja, ponieważ nie chodzi tylko o sam proces zasiedlania takiego obiektu, ale raczej o problemy, jakie ten stan niesie później. Negatywy to: trudny, zaniedbany i skażony teren, społeczny ostracyzm (przynajmniej na początku) i opór urzędniczej materii. Pozytywy: przede wszystkim niezależność i możliwość twórczego działania. Istotny jest także charakter pracy i wpływ, jaki mieszkanie w lofcie może mieć na życie rodziny czy nasze życiowe wybory. W moim wypadku oddziaływanie takiego miejsca na twórczość ma charakter bezpośredni i w miarę upływu czasu właściwie determinuje większość artystycznych i życiowych decyzji...

Co ma wisieć, nie utonie

Relacje przestrzenne (8 metrów wysokości od podłoża) skłoniły mnie do zaprojektowania tarasu wokół budynku (spacerniaka). Ten element ma wiele zalet i zastosowań: pozwala pracować ludziom na wysokości bez używania rusztowania, dokonywać napraw, konserwacji dachu czy bocznych ścian,

myć okna od zewnątrz, o podlewaniu kwiatów z góry nie wspominając... Przestrzeń pod budynkiem również ma 200 m² i jest uwolniona, przeznaczona do wszelkiego rodzaju interwencji architektonicznych. Podstawową zaletą takiego rozwiązania jest możliwość twórczego zagospodarowywania terenu: na, pod i wokół Bołko Loftu. Wewnątrz jedynym elementem dodanym do zastanej struktury pomieszczeń jest czerwone przepierzenie. To, co zostało, a nazwane jest przeze mnie „autentykami”, było poddane interwencji re-

montowej tylko w niewielkim stopniu. Kwestie estetyczne i względy finansowe spowodowały, że cała konstrukcja: sufity i ściany zostały wyplaskowane do gołego betonu i zabezpieczone antykorozyjnie. Byłe panele, za 19,99 zł, kupione w supermarkecie budowlanym i przemnożone przez 130 m² dawał sumę, która puściłaby mnie z torbami... Dlatego na podłodze dominuje szara betonowa posadzka wylana na styropian (względy izolacyjne), którą dla walorów estetycznych



i użytkowych trzech sprawnych panów, za tysiąc złotych, zacierało przez dwie doby, aż do uzyskania szlachetnej, niepyłnej podłogi. Także decyzja o użyciu nieprzezroczystego profilu – czyli szkła przemysłowego – została poddyktowana względami ekonomicznymi. Niemniej, dzięki takiemu rozwiązaniu zapanowałem nad kwestią doświetlenia południowej strony domu, bez narażania się na ciekawskie spojrzenia sąsiadów, widzących teraz jedynie nasze chińskie cienie. Zgodnie z wymogiem narzuconej przeze mnie industrialnej estetyki, cała instalacja prowadzona jest natynkowo – takie rozwiązanie stwarza możliwość „dopinania” kolejnych elementów i ułatwia dostęp w razie awarii (wiele osób doświadczyło zapewne traumatycznego kontaktu z fachowcami prującymi ściany w poszukiwaniu kabli...). Stalowa klatka schodowa z odzysku jest kolejnym pomysłem,



dzięki któremu uniknąłem użycia tradycyjnego detalu architektonicznego. Kupiłem ją na złomowisku za przystoślową złotówkę – choć sam przywóz elementu z Gliwic do Bytomia kosztował 1600 złotych. Klatka została ustawiona na istniejącym fundamencie i jedynie dwa górne biegi schodów musiały być dopasowane do wysokości elewacji. Dzięki schodom mogłem całkowicie odciąć pępowinę łącznicą, scalając mnie na czas budowy loftu z pomieszczeniami kopalni. I tak po dwóch latach od rozpoczęcia rewitalizacji wreszcie samodzielnie „zawisłem” w powietrzu... ■

